



**O na Monta Blanca
wyprawie słów kilka**

Prolog

„Nec Herkules contra plures”
Flawiusz najstarszy z najstarszych ok. 200 r. p. n.e.¹

Gdyby przed tą wyprawą ktoś obeznany z tematyką gór wysokogórskich poświęcił nam choćby kilka minut, żeby nakreślić całą skomplikowaną sytuacją geoklimatyczną, jaka panuje na wysokościach przewyższających nasze rodzime Bieszczady; gdybyśmy obejrżeli rzetelny materiał filmowy (ale BBC, a nie taki, co to telewizja regionalna go kręci, a później puszcza jako ozdobnik do prognozy pogody) na temat niebezpieczeństw czyhających powyżej Gubałówki; gdybyśmy nawet na dłużej zatrzymali się nad statystykami śmierci na Mont Blanc (2/tydz.)² i spróbowali sobie wyobrazić ile to jest tak naprawdę; wreszcie, gdyby bliscy zaprosili nas na osobista rozmowę i zagrozili przy pomocy szantażu, że jak pójdziemy to oni coś tam, to my i tak byśmy poszli. Tak. Tak bardzo byliśmy zdeterminowani.

A tak naprawdę, byliśmy nieświadomi powagi sytuacji – ja już w pewnym momencie stwierdziłem, że skoro jest tyle czynników ryzyka, to wyeliminowanie kilku z nich nie zwiększy w znaczący sposób naszego bezpieczeństwa. Krotko mówiąc: ‘I Herkules dupa, kiedy ludzi kupa’, więc po co się starać? ‘Wyżej nerek nie podskoczysz, sam pan wiesz’.

Wszystkiemu oczywiście winien jest Adam, który nie wyszedł z inicjatywą poważniejszych przygotowań, zatem ja uznałem, że, skoro on jest spokojny, to i ja powinienem się wyluzować. Z kolei on, widząc moje opanowanie, zdecydował się nie panikować i tak błędne koło się domknęło. A potem to już było z górki. Kolega z pracy, który tę samą wyprawę zaliczył rok wcześniej, zabronił mi kategorycznie traktować ją jako coś szczególnego, czy też szczególnie trudniejszego od niedzielnego spaceru o 23 po warszawskiej Pradze. Dostałem od niego praktycznie cały potrzebny mi sprzęt (właśnie Bogo, jeszcze raz dzięki wielkie!!), gogle pożyczyłem od Emilii, rękawiczki od Kasi, od rodziców zakosiłem jakieś ciepłe ubrania i ruszyliśmy.

Myślę, że wszystkie nasze przeżycia, nie dość, że bardzo dramatyczne, o czym będziecie mieli okazję przekonać się czytając kolejne strony, dodatkowo spotęgowane były przez element zaskoczenia, który sami zdecydowaliśmy się sobie zafundować. Zaskoczenie oczywiście powodowane było brakiem doświadczenia i odpowiedniego przygotowania. Niemniej jednak ośmielę się stwierdzić, iż w stopniu bardzo wyraźnym wpłynęło ono na ogólne zadowolenie z faktu, że udało nam się tak dużo zobaczyć, przeżyć i szczęśliwie powrócić do Polski. W końcu większość z

¹ Prawdopodobnie słowa te padły, gdy przekraczał Rubikon podczas wyprawy na osławionego Herkulesa w sile dwudziestu chłopów, żeby mu dokopać.

² Źródło: intuicja własna autora

Państwa, których ciekawość popycha do spijania soku z owoców naszej wyprawy na dach Europy, przyzna mi rację co do tego, że nie jest niczym wielkim wygrać zawody będąc do nich wyśmienicie przygotowanym, natomiast zaiste wielką sztuką jest ukończyć maraton mając za sobą jedynie przeczytane półtora podręcznika do nauki chodzenia. Jakże wielka jest radość w przyjaznych nam szeregach i o ileż większy podziw dla śmiazków zawczasu już skazanych na porażkę przez wątpiących.

Właśnie dlatego tylko, że nam się udało, mam teraz tę możliwość przestrzec was wszystkich, którzy czytacie te słowa: góry to nie zabawka! Nie można ich lekceważyć! Bo, jak ktoś lekceważy góry, to, jak mawiał poeta „znaczy, że nigdy nie kochał swojej matki”. Czuwaj!

Piotr Braniewski

Rozdział zasadniczo jedyny

- Daleko jeszcze? – spytał znużon, zrezygnowan i ziryton.
- Pół drogi. – odpowiedział bez dreszczu emocji, współczucia i dreszczu emocji Piotr.
- O żesz ja cie. – przeklął siarczyście, wycofał się pół sążni i bez cienia skrupułu sięgnął do kieszeni. Wyjął blaszaną piersiówkę o kształcie niewielkiej piersiówki i pociągnął skromnego, acz nielicznego łyka Żołądkowej. Wiedział, że pół drogi to dużo. Wiedział też, że samo się nie wejdzie. Łącząc te dwie współrzędne, szybko doszedł do wniosku, że dzień szybko się nie skończy. Tak, jak zakochani łapią każdy moment nocy, która przecieka im przez palce, tak jego czas zwalniał coraz bardziej. Zdając sobie sprawę z tej beznadziejnej sytuacji, nic mu nie pozostało, jak przyrównać się do cierpiącego za miliony, spytać retorycznie „za co”, pociągnąć jeszcze raz Żołądkową i ruszyć z mozołem za rączą grupą.

Tak wyglądało moje „zdobycie” Tarnicy – najwyższego szczytu Bieszczad i był to najwyższy punkt w mojej historii zabiurkowego „ALPINISTY”, zanim nadszedł pomysł zmierzenia się z Białą Damą...

Jak to bywa z pomysłami, które nadchodzą przypadkiem, pomysł ów pojawił się jakby przypadkowo. Przychodząc do mojego zakładu pracy, natknąłem się na pewne kolorowe czasopismo. Nie wiem, jak się nazywało i kto kosił na nim pieniądze, ale wiem, że dzięki niemu przywiozłem do kraju trochę obywatela mniej, najadłem się trochę strachu, dałem najeść się strachu mojej mamie i dziewczynce i umorusałem spodnie za 15 funtów, które dostałem od Konia Suwińskiego. Było to aż nadto powodów, dla których należałoby powiedzieć „nie”. Gdzie ja przecież teraz dostanę takie spodnie?

Zatem, otwieram owe pismo, kartkuję, sporo kolorowych obrazków, więc wielce interesujące. Wreszcie ostatni artykuł. Wielkimi literami napisany tytuł: „Mont Blanc dla mieszczuchów”. Szybko zdając sobie sprawę, że jestem mieszczuchem i nigdy nie byłem na tej wysoczyźnie, nie czytając nawet artykułu, zmierzylem szybkim krokiem do scanera i przesłałem go do Piotrka, który właśnie wykonywał czynności służbowe w dewizowym mieście, Florencji.

- Jedziemy? – zapytałem bez ogródek.

Nie minęło pół roku i od razu otrzymałem pełną informację zwrotną:

- Tak.

Posługując się tym przykładem skutecznej wymiany informacji, polegającej na użyciu minimalnej ilości słów, by osiągnąć jednoznaczny przesył informacji, dzięki czemu unika się wszelkich nieporozumień i dzięki czemu nigdy nie zrozumieć, dlaczego kiedyś pytając nadmorską kobietę „gdzie jest Biedronka?”, odpowiedziała mi, że Biedronka już nieczynna, ustaliliśmy, że jedziemy. Skoro już postanowiliśmy, mogłem przystąpić do czytania artykułu...

Piotrek zasugerował, byśmy jechali w wakacje, lipiec, sierpień. Trochę się zdziwiłem, że chce jechać w lato, bo chciałbym, by było choć trochę trudno. Co to za wyczyn wejść po zielonej trawce. Pit wyprowadził mnie jednak z błędu dość szybko i obiecał, że śnieg będzie. No to mu ustąpiłem, bo mówię sobie, że nie będę się z nim kłócił z powodu takich detali i zobaczymy, jaką będzie miał minę ujrzawszy pasące się krowy na wysokości 4.000 metry.

Czas ów, o którym teraz piszę był czasem około 10 miesięcy przed momentem wyjazdu. Postanowiliśmy się zatem przygotować w postaci wyjazdu w Tatry zimą, by choć trochę przetrzeć się po chodzeniu w wysokogórskich górach wysokich. Nie wiadomo czemu, ale zdobycie Tarnicy nie dawało mi wystarczającego poczucia własnych umiejętności alpinistycznych. Zapewne niesłusznie.

Koniec końców zima nadeszła i odeszła, zostawiając za sobą tysiące polskich kup polskich piesków na polskich trawnikach. Jakoś się tak złożyło, że w Tatry nie daliśmy rady wyjechać, ale w sumie kiedyś byłem na Gubałówce, więc uznałem, że zaliczę sobie to w jakiś sposób, że tak powiem, awansem.

Ostatecznie, przygotowania do wyjazdu skoncentrowały się głównie na czytaniu internetowych opisów wypraw poprzedników. Wszystkie wydawały się bardzo ciekawe i wprawiały w stan silnej podnieci turystycznej. Ładują czytającego kolejną porcją energii, by mógł dalej silnie się przygotowywać do wyprawy, czyli w moim przypadku, czytać kolejne opisy.

Mają one jednak jedną wadę. Samo ich istnienie fałszuje nieco skalę trudności wyprawy. Otóż, z dość oczywistych powodów, na necie znajdują się prawdopodobnie w lwiej części, jeśli nie w całości, opisy wypraw udanych. Nikt nie chce się przecież dzielić niepowodzeniami. Dlatego odnosi się wrażenie, że wszystkim się udaje. Zabija to czujność i usypia. A przecież nawet Pele nie strzeliłby 2 milionów bramek, gdyby nie był czujny, zresztą tak na boisku, jak i w życiu prywatnym, bo na boisku mogą ci co najwyżej złamać nogę, a w życiu, serce. Wiedzą o tym najlepiej harcerze, którzy zegnają się przy pomocy wołacza „czuwaj”.

Zatem przygotowania szły pełną parą. Nadszedł czas określenia wyjazdu. I znowu przy pomocy wynalazku Billa Gatesa i Kaszpirowskiego – internetu, ustaliliśmy datę wylotu i oczekiwanego przylotu. 13 lipiec – Kraków – Turyn liniami rejsowymi SkyEurope i powrót 20 lipiec również z Krakowa do Turynu.

Miesiąc przed wylotem doszedłem do wniosku, że jednak chyba za bardzo harnasiuję i jak nie popracuję nad kondycją, to może nie będzie komu skorzystać z biletu powrotnego. Był wprawdzie tani, ale ja bardzo nie lubię marnotrawić pieniędzy. Dlatego postanowiłem uprawiać codzienny, bez wyjątku, jogging wieczorny. Był on o tyle podwójnie motywowany, że stanowił wspaniały i naturalny zarazem pretekst do spotykania pewnej uroczej dziewczyny, uroczej niczym wschód i zachód słońca w jednym, niczym pole gryki i dziecieliny pały głaskane wiosennym powiewem pasatu lub te, takie małe, nadbałtyckie bursztyniki... Łącznie z 30 dni przebiegłem może 8. Gdyby nie silne postanowienie, że będę biegał codziennie, to pewnie przebiegłbym 2-3. Więc i tak bardzo dobrze. Ponadto pogrywałem w piłkę

nożną, więc chyba z kondycją nie było tak źle. Niemniej jednak, zdawałem sobie sprawę z tego, że słaby ze mnie góral i pewnie dość szybko spuchnę.

Czas biegł tak, jak zwykle, w nocy szybciej, w pracy wolniej. Moment wyprawy zbliżał się aublaganie, więc trzeba było organizować sprzęt, prowiant, opracować dokładną trasę wejścia i ewentualnego zejścia, bo bez planu, to można iść przez życie jedynie z miłością w kieszeni. Dlatego poszliśmy z Pitem po rozum do głowy i na tradycyjny lanczyk pracowniczy do restauracji żydowskiej. Zamówiliśmy po koszernym schabowym, koszernym kompocie i zaczęliśmy rozmawiać. Doszliśmy do wniosku, że ja zajmę się opracowaniem i zakupieniem prowiantu odpowiedniego do naszej wyprawy, a Piotrek opracuje trasę dojazdu z Turynu do Chamonix. Tak, jak życie lubi nas czasem zaskakiwać, lubi dać nam po małym pstryczku w tyłek, tak i tym razem nasze plany okazały się niczym wobec natury ślepego przeznaczenia, nieubłaganego losu i może w pewnym, marginalnym ułamku, naszego lenistwa i lekkodusznego podejścia do materii. Koniec końców, to ja opracowałem przejazd do Chamonix, a Pit, wykorzystując fakt posiadania psa maści duży kudłaty, zręcznie przeczesał sieć internetową i wyłuskał listę dziwnych przedmiotów spożywczych, które przy niskiej masie i małej objętości, miały utrzymać nas przy względnym życiu przez parę dni. Ja z kolei znalazłem dość ciekawe połączenie transportowe, które miało za zadanie zminimalizować czas naszego istnienia między Turynem a Chamo (właśnie stworzyłem ten skrót i myślę, że całkiem, całkiem). Jako, że lądowaliśmy dopiero około 22 (w nocy), nie mieliśmy wiele do wyboru, wybór był niewielki i wielki był niedobór wyboru. Połączenie, jakie znaleźliśmy, polegało na dostaniu się linią autokarową „Sadem” bezpośrednio z lotniska do Aosty – ciągle leżącej po włoskiej stronie miejscowości, z której to mieliśmy ranne połączenie do Chamonix, tym samym przewoźnikiem (koszt około 6+14 Euro, czas około 1,5+2,5h). Trasa i żarcie były więc obcykane.

W pewnym momencie życia zdałem sobie sprawę, iż brakuje mi jeszcze obuwia. Szybko doszedłem do wniosku, że na boso może ciągnąć po nogach i na 3 dni przed wyjazdem zaciągnąłem Pita do sklepu, żeby mi doradził co kupić. Na pytanie sprzedawczyni, jakie wymagania ma spełniać obuwie, odparłem, nauczony ścisłego wyrażania myśli, że proszę o buty bardzo szczelne, ale jednocześnie oddychające, buty z bardzo sztywną podeszwą, ułatwiającą poruszanie się po lodowcu, ale jednocześnie miękką by nadawały się na Bieszczady, buty bardzo ciepłe, chroniące przed opdmrożeniem, ale żebym się w nich nie ugotował podczas letnich wypadów, tanie, ale renomowanej firmy, lekkie, ale ciężkie... Myślałem, że jako laik alpinistyczny, nie byłem wystarczająco jasny, kiedy zobaczyłem jak pani ekspedientka spojrzała na mnie, jak na ostatniego franca. Po chwili jednak otrząsnęła się, popatrzyła w okno, przetarła łzę w oku, siorbnęła noskiem, wyjęła telefon i wykręciła do dziś dzień nie wiem jaki numer (wiem, że nie mój, bo mi nie dzwonił wtedy). Jak tylko zgłosił się rozmówca przemówiła: *Kochanie, przepraszam Cię... Przepraszam, że chciałam byś był delikatny kawał drania, stateczny, a zarazem nieodgadniony i ciągle mnie zaskakiwał, byś był dojrzały, a zarazem chłopięcy, poważny, ale zabawny, spokojny ale czasem łobuz, byś był kulturalny, ale czasem przeklął i dał komuś po*

gębie, byś był naraz obok mnie, we mnie, w mej głowie, sercu i jednocześnie naprawiał gniazdko w garderobie na przyjazd mamusi...Uprzytomnił mi to wszystko pewien palant, który właśnie... Dalej nie zdołałem podsłuchać, gdyż rozdygotana pani ekspedientka oddaliła się w stronę bloku przymierzalni. Zastanawiając się, o kim mogła mówić i wyciągnąwszy wnioski o nieprzewidywalności nastrojów kobiet, zwróciłem się tym razem do ekspedientki płci męskiej. Przedstawivszy oczekiwane elementy obuwia, sytuacja powtórzyła się: on też wyciągnął telefon i zadzwonił do jakiegoś Kamila ze łzami w oczach.

Trzeci ekspedientka okazała się za to pogodoodporna. Gruba pani po grubej 60tce, zakręciła tylko wąsem i przystąpiła do okazywania butów. Niestety te, które mieściły się w moich, dość restrykcyjnych miernikach cenowych, czyli 500zł, okazały się trochę uwierające. A musisz wiedzieć drogi Czytelniku, że trochę uwieranie w sklepie, zwykle na stoku przeradza się w uwieranie typu „mama obiera ziemniaki zardzewiałym nożem”. Dlatego odpuściliśmy i postanowiliśmy udać się do innego sklepu nazajutrz. Tak też zrobiliśmy. Znalazłem tam wreszcie buty, które wprawdzie nie spełniały moich wszystkich warunków koniecznych, ale spełniły warunek wystarczający – dzięki ich kupnie dostawałem zniżkę na skarpety w wysokości 15 zł.

Myśląc błędnie, że będzie to jeszcze mądre pytanie, które zwiększy mój imaż, zapytałem się grzecznie pana ekspedienta, czy obuwie należy rozchodzić przed wyprawą.

-No tak! Oczywiście! Co najmniej tydzień! - odparł sprzedawca, nawet nie próbując udać, że on nie wie, że ja myślałem, że on pomyśli, że zadaję mądre pytanie. - A kiedy wyjeżdżacie i dokąd? - spytał, zapewne wyczuwszy, że będzie mógł zaraz mnie dobić.

- Jutro, Mon Blau. - odparłem, próbując użyć wymowy francuskiej, której nauczył mnie kiedyś przy piwie Łukasz K.

Ekspedient nie ukrył zdziwienia, ciężącego ku litościwemu osłupieniu, słów odradzania, by na koniec zdopingować nas, przypominając o śmiertelnym wypadku, jaki zdarzył się na MB parę dni wcześniej. Zachowawszy spokój, zabraliśmy buty, skarpety i opuściliśmy sklep.

W międzyczasie, okazało się jeszcze, że Pit pracuje z kolegą, który był już na wyprawie na MB. Był to kolejny dowód na to, że los sprzyja albo nie. Dzięki koledze owemu, Piotr zaopatrzył się w mapy, czekan, gogle, raki i garść porad, wartych zapewne więcej niż garść złota, lub innych metali szlachetnych. Jako, że podobny sprzęt alpinistyczny potrzebowałem i ja, znaleźliśmy drogą internetową wypożyczalnie sprzętu alpinistycznego w Krakowie (Wierchy) i tam zarezerwowaliśmy czekan plus raki nieboraki (koszt na 7 dni – około 200 zł).

Tak minął okres przygotowawczy i nadszedł dzień wyjazdu, dzień, który kiedyś zamglony, stał teraz przed nami pełnią swojej doniosłości. Tak, jak Wenus babrająca się w pianie, tak i on wynurzył się z ciemności, zwanej nocą ze środy na czwartek. Wczoraj stało się dniem dzisiejszym, a jutro miało stać się jednym z najpiękniejszych

wspomnień, jakie mieliśmy przeżyć dzięki dwunastemu stopniowi zasilania roku '80...

Dzień wyjazdu zacząłem od... pracy. Wyjazd z Warszawy mieliśmy zaplanowany dopiero na wieczór, więc jeszcze spokojnie mogłem iść popracować, aby gdzieś daleko w Ameryce, mój, siedzący na 100ym piętrze szef szefów, mógł się choć trochę uspokoić, że jakiś Ylkełycz popracuje jeszcze trochę, by mógł wreszcie kupić sobie swój wymarzony i jedyny w swoim rodzaju, 14ty model Aston Martina.

Jednak, jak ma się wiedzę, że za kilkadziesiąt godzin będzie się łazić po najwyższej górze Europy, to w myślach człowiek już tam zasadniczo się znajduje. Dlatego obawiam się, że nie przybliżyłem szefowi Marcina zbyt mocno.

Praca się skończyła i w płuca wciągnąłem powietrze dwutygodniowej wolności. Współpracownicy „wtajemniczeni” w plany życzyli mi powodzenia, pokleпали po plecach i zapytali czy mogą już przejąć moje artykuły biurowe. Pojechałem do domu. Byłem już spakowany. Dwie pary spodni – jedne na sobie, lniane – tranzytówki, drugie – klasyczne spodnie narciarskie z najniższej półki, z dodatkowo przedłużonymi szelkami (bo mnie bardzo uwierały w... marszu) przy pomocy przeciętego krawata (piękna robota Kinga:) Jak się okazało, spodnie lniane, mimo, że przeznaczone tylko na przejazd, posłużyły mi cały, pierwszy dzień do wysokości 2.300, gdyż było bardzo gorąco. Pit szedł od początku w spodniach moro, czyli mógł i zapewne budził zainteresowanie precudnie wyposażonych, pięknych i kolorowych wspinaczy dewizowych. Dodatkowo, kalesrajty, ze 3 pary bielizny, 2 pary skarpet narciarskich, polar, gruby sweter, podkoszulek narciarski (super rzecz), 2 zwykłe koszulki, kurtka zimowa, dwa szaliki (wystarczy 1), rękawice, czapka zimowa (nie wzięliśmy czapek letnich z daszkiem – duży błąd), gogle (najlepiej przyciemniane), kijki narciarskie (bardzo przydatne), raki, czekan, 10 metrów liny dynamicznej (na spółkę), namiot (na spółkę), śpiwór (nie na spółkę), karimata, czołówka (dobrze mieć dobrą – ja miałem taką ciapciawatą i się trochę męczyłem), worki plastikowe; kosmetyk w postaci szampon, szczotka, pasta, szczypczyczki; farmaceutyki – aspiryna, bo ponoć poszerza naczynka i lepiej się przyjmuje tlen, apap, rutinoscorbin, woda utleniona, bandaż elastyczny, plastry, igła do przekłuwania odcisków, aluminiowa folia ratunkowa, maść natłuszczająca na twarz, pomadka na usta, olejek do opalania, spray na komary; sprzęt kuchenny – 1 spory garnek na dwóch na mamałygę, menażka, nóż, widelec, łyżka, kubek, palnik (gazu nie można przewozić samolotem, więc musieliśmy się zaopatrzyć na miejscu); jedzenie – soja, kaszki, kuskus, makaron, sosy w proszku, kilka kostek rosółowych, kilka zupek chińskich, 1 czekolada na dzień, parę batoników, landrynki (bardzo przydatne w czasie marszu – szybki dostęp energii, mniej chce się pić i w ogóle idzie się wtedy przyjemniej, jak coś w mordzie się pałęta; najlepiej brać landrynki oddzielnie pakowane, żeby móc ładować sobie po kieszeniach), suszone owoce (morela, banan, rodzynki, śliwki), suchary, ze dwie puszki konserwy na czas dojazdu, kilka kolb plussza, aparat foto i jedną, wspólną puszkę piwa Żubr, którą mieliśmy wyłopać na Dachy. Polecam ponadto wziąć kask, zapasową, naładowaną baterię do komórki oraz bezwarunkowo ubezpieczenie. Całość około 20kg.

Spakowani, wyściskani przez dwa, czarnogłowe kwiatuszki, wyruszyliśmy. Była 1 w nocy. Zasiedliśmy do Peugeota Czerwona Rakietka 406 rocznik '96, zapuściliśmy składankę Kazika i pognaliśmy w stronę Krakowa. Jako, że byliśmy tego dnia piekielnie zmęczeni - noc wcześniej mieliśmy „uroczystość” oddania łazienki w moim mieszkanku, zmienialiśmy się w trasie chyba 3 krotnie, śpiąc na zmianę. Jak to później się zwierzył Piotrek, w tej drodze wyznawał zasadę, że im dłużej on będzie kierował, tym więcej wyśpię się ja, czyli tym więcej będę mógł prowadzić, przez co on tym więcej się wyśpi. Szczęśliwie takie podejście nie skończyło się tam, gdzie się nie skończyło.

Dojechaliśmy. Wspaniałomyślnie, dzięki Grzesiowi i Oli mieliśmy metę. Zdrzemnęliśmy się więc trochę i nadszedł piątek - dzień wylotu. Poszwendaliśmy się po mieście, spotkaliśmy koleżankę na starówce, zjedliśmy po kebabie i siup na pociąg, który miał dowieźć nas na lotnisko Balice. Pociąg ów kursuje co 30 minut. Szeroko ogłaszany w miejscowych mediach drukowanych, jako najszybszy (bo nie stoi w korkach), najpewniejszy (bo nie stoi w korkach) i najtańszy (bo nadal komuś w Polsce zależy, by kolej przynosiła straty) środek transportu na lotnisko, w naszym przypadku, nie przyjechał. Podano, że z powodów technicznych (może techniczny zalał pałkę). Musieliśmy czekać na następny. Dojechaliśmy na lotnisko w 20 minut. Jako chyba ostatni podeszliśmy do odprawy, 50 minut do odlotu, zaraz zamykają bramki i co się okazuje? Piotrek zapomniał paszportu... No to jesteśmy umoczeni. Nie ma czasu na szybką akcję powrotu na metę. Pani nie chce zaakceptować starego dowodu, prawa jazdy, nawet karty rowerowej. Więc mamy dzień w plecy i parę ekstra złoty, które przecież możnaby wydać na piwo lub inne towary pierwszej potrzeby...

Ok - to był żart (narratora). Piotrek, jako zorganizowany gość miał paszport i jesteśmy w grze. Przechodzimy odprawę i udajemy się w stronę bramek metalodetektorowych. Po paru minutach usłyszeliśmy komunikat „*Ostatnie wezwanie*”. Trzeba było się spieszyć. Nie było już czasu na nic, więc szybko zaszedłem do sklepu bezcłowego z zamysłem ewentualnego zakupu perfum. Niestety szukanych nie było, więc żeby tak nie wychodzić z pustymi rękoma, bo to przecież nie wypada, zakupiliśmy Sopliczkę Żołądkową, żeby móc godnie przywitać ziemię włoską, bo to przecież tam nasze Legiony i w ogóle. Na płycie lotniska zadzwoniłem jeszcze do Conforamy, spytać czy już moje wymarzone mebelki kuchenne przyjechały. Dostałem szybką odpowiedź, żebym ich pocałował tam, gdzie pocałować powinni mnie oni i wsiałem do samolotu.

Zasnąłem. Gdy się przebudziłem, zobaczyłem wokół mnie wiele osób podróżujących w tym samym kierunku. Nagle pilot powiedział, że lecimy nad Alpami i po prawej stronie widać Mont Blanc. Niestety siedziałem po stronie lewej i nic nie widziałem. Pomyślałem - „*spokojnie... niedługo będziesz oglądał ją z bliska...*”.

Wylądowaliśmy. Skompletowaliśmy sprzęt z taśm bagażowych, przeszliśmy bramki i zasiedliśmy w barze i oczekiwaniu na autokar. Zgodnie z rozkładem, podjechał autokar i ruszyliśmy do Aosty. Z tego co pamiętam, zasnęliśmy. Obudziliśmy się na stacji końcowej. Wylgnęliśmy z autokaru, godzina około 23.30.

Zaczęliśmy włóczyć się po okolicy w celu obcykania miejsca namiotowego noclegu, a że było to ściśle centrum, było ryzyko sporego zaludnienia przypadkowych gapowiczów, jak i służb porządkowych, które przeważnie dziwnie reagują na namioty rozbite pod ratuszem lub na podjeździe szpitala.

Aosta, to stare miasto, i jej centrum okala stary mór obronny z wieżyczkami strażniczymi. Pierwszy pomysł, jaki zawitał nam do zmęczonych głów, podpowiadał żebyśmy rozbili się pod jedną z nich lub gdzieś w środku. Ale nie – było zbyt blisko centrum. Odeszliśmy 200 metry i znaleźliśmy parczek jak ta lala. Park kończył się murem i był słabo oświetlony, git. Nie namyślając się dłużej, zaczęliśmy się rozbijać.

Namiot, jaki mieliśmy, pożyczyliśmy od naszego przyjaciela Łukasza Kudźimejchera. Popełniliśmy jednak jeden podstawowy błąd – nie sprawdziliśmy go przed wyprawą. Wygrało polska mądrość ludowa „a co się może stać...”. No i przy napinaniu pałaków, jeden okazał się nadpęknięty, nie wytrzymał i trach. Namiot, który miał odgrywać rolę schronu, ostoi, bezpiecznego kąta i chronić przed ciężkimi warunkami górsko-lodowcowym, nie wytrzymał próby rozbicia na włoskim trawniczku. No nic, nawet nie wiem czy najpierw przemknęły nam śmiechy przez myśl czy uczucie niepewności jutrzejszej nocy. Tak czy siak, przechodząc do prowizorycznego planu naprawczego, udało nam się zmontować ten pałak do przysłowiowej kupy i postawić naszą kaplicę. Oczywiście nie winiliśmy Łukasza za niepewny namiot, bo los i tak pokarał już go wystarczająco – niedługo się przecież żeni³.

Niebo było pełne gwiazd, co utwierdziło nas w przekonaniu meteo o bezchmurnej nocy. Narodziło się pytanie, czy zatem montujemy tropik, bo to przecież tyle zachodu i o wschodu będzie go przecież trzeba składać. Mimo wszystko coś nam podpowiedziało, żeby go chociaż zarzucić. Dobrześmy uczynili, gdyż rano obudził nas deszcz z parkowych tryskaczy.

Jeszcze zanim położyliśmy się w kimę, zakropliliśmy się lotniskową wódecznością. Patrząc to na niebo, to na otaczające góry, pogadaliśmy chwilę z Pitem o sprawach, o których rozmawia się przeważnie w takiej scenerii przy akompaniamencie 40% – życiu, miłości i upragnionej podwyżce w pracy.

Nastał ranek. Szybka akcja i lecimy na autobus. Odjazd za 3 minuty. Piotrek w biegu myje zęby. Ja w biegu nie myję, bo to mało było wypadków, że sobie tacy w oko włożyli szczotkę? Dobiegamy na styk. A kierowca niewychowany taki, i w dodatku nie po polsku, mówi, że bilety to się kupuje na dworcu, a nie u niego. Więc Pit zasuwa na dworzec, on zna 500 słów po włosku. Ja pilnuję bagażu, jednocześnie obserwując ukradkiem zachowanie kierowcy, czy przypadkiem nie będzie chciał dać dyla autobusem. Pit wraca wcześniej niż kur zapiał trzeci raz i jedziemy uśmiechnięci w stronę Francji.

Dojeżdżamy do Chamonix. Początkowy cel osiągnięty. Prawie. Większość szlaków na Białą Damę zaczyna się z Les Houches, oddalonym czy tam oddalonym o kilka

³ Aniu – nie chodzi, że z Tobą!:) Tylko tak ogólnie, wiesz – męskie, głupie docinki...ogólnie żart© (pewnie słaby)

kilometrów od Chamo. Po kilkuminutowym błędzeniu po mieście odnajdujemy przystanek autobusowy i czekamy na to, na co czekają wszyscy na przystankach autobusowych.

Jako, że nie mieliśmy bladego pojęcia, jak się wymawia Les Houches, wykształciło się wiele nazw pobocznych (np. Les Hołhes, Les Hołczes etc). Ale najbardziej polubiliśmy semantyzm Lesbos (poprawna wymowa to bodaj Le Szusz. I nie można było tak tego zapisać?).

W Lesbos kupujemy naboje z gazem, wodę i ostatnie piwo. Na pobliskiej ławeczce dokonujemy ostatecznego przepakowania i przysposobienia do wyruszenia.

Około 13 godziny 14 lipca 2007 rozpoczynamy wejście.⁴ Mam dość po pierwszych 200 metrach. Żar leje się z nieba, brak czapki, duszno, 20 kg na plecach i w dodatku pod górkę. Ale nie daję tego po sobie poznać. Poza tym wiedziałem, że jak zacznę narzekać, to ciężko będzie zaprzestać tego przyjemnego nawyku, po drugie, jestem tu na swoje życzenie i głupio sobie teraz zaprzeczać, a po trzecie wprawianie samego siebie w wisielczy nastrój to strzał w kolano, jak nie wyżej. Zatem postanowiłem nie dziamgać, jeno iść. Po 30 minutach marszu poprosiłem Piotrka o pokazanie mi na mapie drogi, jaką zamierzamy iść. Jako, że Piotrek to spoko kolo, nie trzeba było go dwa razy namawiać i szybko, precyzyjnie wskazał mi cienką, czerwoną linię biegnącą w poprzek mapy.

- Kurde - powiedziałem. - Wiesz Pit, z tego co czytałem, 90% osób wchodzi innym szlakiem, szlakiem wzdłuż kolejki.

Szlak, którym obecnie podążaliśmy, zdawał się z dystansu przebiegać w okolicy sporego jezora lodowego, który, jak odnosiłem wrażenie, tylko czekał żeby na kogoś się zlawinować.

- Ok. - rzekł Pit - To którą?

Popatrzyliśmy na mapę i następnie na krajobraz (staliśmy na minimalnym podwyższeniu, przed nami ogromne dolinne przedgórze przechodzące w góry, za nami Lesbos).

- Widzisz tamte druty? - spytałem Piotrka i widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, wskazałem palcem odległe słupy, oddalone od nas około 2 kilometrów lasu biegnącego po naszej prawej stronie. Wywnioskowaliśmy, że są to liny kolejki, więc tam też musi być szlak. Musieliśmy teraz podjąć męską lub głupią decyzję, czy wracamy się do wioski i elegancko idziemy tam drogą, dróżką, autostradą, cokolwiek tam biegnie, czy dając upust naszym wrodzonym zdolnościom minimalistycznym, idziemy na przełaj. Z takiego naprowadzenia, drogi Czytelniku oczywiście wiesz, którą poszliśmy.

⁴ Felerna data 14 lipca:

1223 - zmarł Filip II August, król Francji

1867 - Alfred Nobel zademonstrował po raz pierwszy działanie dynamitu

1881 - zmarł Billy the Kid, rewolwerowiec, legenda Dzikiego Zachodu

1911 - RMS Olympic, bliźniaczy statek Titanica, rozpoczął dziewiczy rejs

2006 - W Pałacu Prezydenckim zaprzysiężony został rząd Jarosława Kaczyńskiego

Po wejściu w lasek spotkaliśmy strumyk. Phi. Wielkie mi co. Raz, dwa i po strumyku. Jeden - zero. Las jednak robił się coraz gęstszy, czepiał się plecaków i rzep ogona psiego czepiał się też. Po 30 minutach natrafiliśmy na pierwszą, większą przeszkodę, o której każdy profesjonalny amator chodzenia po górach wiedzieć powinien. Stara zasada, wypisana gwoździem papiakiem na remizie w bieszczadzkich Ustrzykach być może mówi: *nigdy nie chodź na przełaj, bo trafisz na kanion*. Jaka szkoda, że nigdy nie wałęnałem browara pod ustrzycką remizą.

Trzeba wiedzieć, że wąwozy w Alpach są pokaźne. Wąwozy, którymi spływają hektolitry wody każdej wiosny od miliona lat świetlnych, muszą być bardzo pokaźne. Nie jest to wąwóz o łagodnych uskokach, obsianych koniczyną czy inną ozimą roślinnością pastewną, ale strome boki najeżone są głazami i ileś metrów w dole, przeważnie spokojne, płynie sobie malutki, czyściutki, skromniutki strumyczek, który ma wiecznie wszystko w dupie. Stanęliśmy na skraju wąwozu i zaczęliśmy dumać. Może iść wzdłuż niego, aż się spłaszczy, a może lepiej iść w dół, bo może tam się spłaszczy. Fifteen fifteen, jak kiedyś mówiłem. Kit, przecinamy tutaj. Go go go, raz raz raz. Przecieliśmy, nie było tak źle. Straciliśmy przy tym chyba jednak z 200 kalorii.

Ale jest dobrze. Przedzieramy się dalej. Co chwila natrafiamy na jakieś wydeptane ścieżki. Cieszymy się zatem, że jednak ktoś tędy chodzi, musimy być na dobrej drodze. Ale kiedy uświadomiliśmy sobie, że są to ścieżki kozic, utwierdziliśmy się tylko w przekonaniu, że tym bardziej nikt tędy nie chodzi. Ok, damy radę. Noga za nogą. Powoli, ale się przedzieramy. Aż znów do jasnej ciasnej natrafiamy na wąwóz. Tamten w porównaniu do tego był jak kanion bebiko, a kanion denaturat. Tędy nawet rzeczka bała się płynąć. Ok, próbujemy pójść trochę w górę kanionu. Nici, za stromo. W pewnym momencie jedna noga ześlizga mi się na skraju wąwozu i musiałem chwytać się okolicznej flory w celu uniknięcia bliskich spotkań z naturalnym pumeksem kilka metrów w dole. Ostra dawka adrenaliny wbiła mi się do odpowiednich płatów mózgu i tu chyba pierwszy raz przeszło mi przez głowę, żeby nabrać wreszcie trochę szacunku do sił przyrody i prawa grawitacji. Kiedy obie się łączą, a ludzka głowa je zlekceważy, wiele łez może spłynąć po policzkach najbliższej rodziny, znajomych z podwórka, dzielnicy, miasta, miasta partnerskiego B indesbaden, kraju, kraju miasta B indesbaden, ONZ, świata, zaświata, zaświata świata równoległego, świata prostopadłego zaświata równoległego itd. itd. Tak więc od teraz uważam, by każdy krok był pewny i pełna koncentracja. Jak spadać, to z wysoka, a nie na samym początku, bo wtedy łyzy najbliższej rodziny, znajomych z podwórka, dzielni, B indesbaden...

Ogólnie sytuacja dość patowa. Tędy nie damy rady. Więc musimy trochę zejść. Robimy małą przerwę w celu odetchnięcia i goł. Dochodzimy wreszcie do miejsca, w którym podejmujemy próbę. Jak każda konstrukcja wąwozu, i ta wymaga byśmy najpierw dali parę solidnych kroków w dół, a później osttrre podejście. Raz, siup, w dziób i się udało, mały sukces, hura. Oby nie było tego szajsu więcej...

Znowu natrafiamy na dróżki kozic. Las się trochę przeciera. Idzie się łatwiej. Nagle dostrzegam nad nami druty! Jest git. Są druty, zaraz musi być szlak! Tak tak tak!

Idziemy ochoczo. Idziemy, idziemy, a szlaku nie ma. Jeśli źle nas pokierowałem, to wprawdzie Piotrek mnie nie zabije, ale stracimy masę czasu i energii...

Ufff, wreszcie się pojawia. Szeroki szlak, prawie jak droga. Nasze Maluchy spokojnie by tu dawały sobie radę. Ucieszeni, już pod tą górką będzie z górki, siadamy. Jemy jakieś małe wzmocnienie. Wyrażamy radość i zadowolenie, że udało się przeciąć te nieprzyjazne gęstwiny i jedynie żałujemy, że przez nadmierny wysiłek musieliśmy stracić trochę mięśnia piwnego, nad którym tak zaciekle pracowaliśmy, tyle piwa na marne i trzeba będzie teraz pracować od nowa...

Kilka minut i lecimy dalej. Już powinno być lżej. I jest. Jako, że robiliśmy lekki zawracający łuk, doszliśmy i do tego kanionu, który napsuł nam trochę nerwów. Tutaj przejście było słodziutkie. W strumieniu napełniliśmy butelki z wodą i dajemy dalej.

Po jakimś czasie roślinność drzewiasta zaczęła się kończyć i przechodzić w tundrę czy jakieś tam kosodrzewiny. Rozpostarły się tym samym przed nami piękne widoki. W dole, w ogromnej dolinie, Chamonix i Lesbos przecięte wstęgą błękitnego, górskiego potoku, a ponad nami szczyty, przytłaczające swoją wielkością, siłą i spokojem. Jeden szczyt wydawał się szczególnie nieprzyjazny i wydawałoby się, że jakby być na nim, to nie ma szans żeby nie fiknąć w dół, bo to tak wysoko. Kiedy nazajutrz patrzyłem na ten szczyt, będąc już ponad nim, nie był już taki buńczuczny i wydawał się parskać do mnie: - *O tak! Pokonałeś mnie! Och, jaka byłam niegrzeczna!..., zasługuję na karę!..., klepnij mnie! o tak! ach! mocniej! tak o tak mój ty rozrabiako! ach! ach!...* - Ale to było dopiero nazajutrz.

Tymczasem doszliśmy do opuszczonej stacji kolejki. Wysokość 2.000 m. Chwila odpoczynku, szybka szama i podziwianie widoczków. To było minimum, jakie mieliśmy założone na ten dzień. Robiło się powoli ku zachodowi i do następnego, ewentualnego postoju było przewyższenie 300 metrów. Zdecydowaliśmy się podjąć próbę.

Szliśmy po torach kolejki, po lewej stronie ściana góry, po drugiej stronie lekkie urwisko, a my środeczkiem rachu ciachu. Szło się dobrze, nawet bardzo, bo po krótkim czasie osiągnęliśmy mały tunel, a za tunelem końcowa stacja kolejki. No to rozbijamy obóz.

Ale, ale. Powitał nas spory trzask. Zauważyliśmy jak w oddali, jakiś kilometr od nas, schodzi niewielka lawina śniegowo-kamienista. Było to bardzo daleko, ale wyraźna huczna aria, niczym strzała Amora serce doktora Judyma, przeszła całą okolicę. Powitały nas również kozice. Bardzo ciekawe żyjątka, które zeskakują z pionowej ściany z takim wdziękiem i lekkością, że powinno się je za to zamykać do więzienia. Poza tym nie obawiają się ludzi i podchodzą bliźutko ukazując zaufanie. Najwidoczniej Mont Blanc nie cieszy się wielkim zainteresowaniem wśród „zwierzęcych” wujków złych dotyków. Ogólnie bardzo je polubiłem (te kozice) i gdyby było już dużo mniej tlenu, pewnie nawiązałbym z nimi pogawędkę o kobietach.

W międzyczasie dobiło do bazy dwoje Polaków. Zgoła śmieszna sytuacja, gdyż nie wiedząc o swoim pochodzeniu, zaczęliśmy rozmowę po angielsku, by po kilku

zdaniach dowiedzieć się, że to rodacy. Była to dziewczyna i chłopak. Generalnie nabrałem olbrzymiego szacunku do żeńskiej braci „wspinaczkowej”. Góra traktuje wszystkich tak samo i nie ściele chodników dla „słabszej” płci. A biorąc pod uwagę lokówki, suszarki, zestawy do peelingu i solaria, jakie muszą wnosić w plecakach, każdy krok wymagał od nich większej ilości złota marszu, czyli energii.

Pogadaliśmy chwilę, po czym dołączyło do nas jeszcze dwóch Anglików. Polacy wchodzili, Anglicy schodzili. Zaczęliśmy zatem wypytywać ich, co i jak, i gdzie, i czego nie, i po co to wszystko. Ogólnie doszli na wysokość 3.800 i zawrócili. Jeden z nich nie wytrzymał wysokości, dostał bólu głowy i ogólnego rozdziamdziania organizmu. Nie było szans wejścia. Niemniej jednak słabi nie byli. Nie mieli nawet namiotu, tylko specjalistyczne śpiwory, w których spali pod gołym niebem. My rozłożyliśmy nasz niezawodny namiot przy samej kanciapie od kolejki, zjedliśmy pyszną mamaligę produkcji Piotrka i położyliśmy się spać.

Wczesnym rankiem, około 9, obudził nas tumult. Niecichy był tumult ten. Wyglądamy, a tu 12 tysięcy zastępów, każdy po 12 osób. Łącznie 144.000 przepięknych apostołów alpinizmu wylało się z gardła pierwszej tego dnia kolejki. Och jacy oni byli kolorowi, tęczowi, kanarkowi, pawiowi. Wyznaję zasadę, że im alpinista bardziej kolorowy, tym ma lepszy = droższy sprzęt. Ja miałem czarne spodnie, szarą czapkę, beżowo-czarną kurtkę i czarne rękawiczki. Przybysze byli wypoczęci, dobrze odżywieni, wyspani, naoliwieni, przygotowani i uśmiechnięci. My byliśmy uśmiechnięci. Dobrze i to. Poza tym mieliśmy przewagę moralną. Idziemy od zera, a nie od niezera...

No nic. Trzeba wstawać i związać sprzęt. Kierując się jedynie słuszną zasadą, że grunt to się wyspać, zauważyliśmy, że Polacy i Anglicy mieli inne creda i już zniknęli. Anglików mogę jeszcze zrozumieć, ale Polaków...? Sami w namiocie, wierzchołki Alp dookoła, śpiewające kozice, romantyczne lawiny, a oni patrzą na czas tak, po gospodarsku... Chociaż kto wie, jak działają te mechanizmy na wysokościach.

Ok. Zwijamy namiot, robimy szamę, zmywamy gary w pobliskim strumyczko-wodospadzie, przemywamy z lekka ciała - ostatni raz na kilka dni, pakujemy się, zakładamy cieplejsze ciuchy i wyruszamy. Dzisiejszy cel - schronisko Refuge du Guter na wysokości 3.800 metry. Jest to ostatnia cywilizowana baza schroniskowa przed szczytem. Mamy zatem 1.500 przewyższenia do pokonania. A po drodze słynną groblę, gdzie ponoć lubią schodzić kamienne lawinki, zaskakując tych, którzy się tego nie spodziewają. My się spodziewaliśmy, więc na pewno nas nie zaskoczy i najwyżej dostaniemy w czapę świadomie...

No to lecim. Słońce wali, jak w Suchej Beskidzkiej, kiedy wali, jak w Meksyku. Idzie się dobrze, ale ciężki pot spływa z czoła, ramion i pupy. Idziemy po solidnym, skalnym gruncie, wydeptaną ścieżką. Godzina jedna, druga aż wreszcie dochodzimy do pierwszego śniegu. Śnieg na ziemi, a metr wyżej milion stopni. Takie życie, myślę sobie i do przodu.

Kiedy przystanęliśmy na chwilę oddechu, zauważyliśmy że właśnie mijamy i w zasadzie jesteśmy już powyżej tego szczytu, który wczoraj sprawiał takie chłodne wrażenie. Teraz już spokorniał.

Powoli zaczynają się skałki, o tyle łatwe, że między nimi prowadzi druzka. Więc żadna wspinaczka, jeno bardziej slalom między głazami. Najgorsze, że dużo luda i co chwila trzeba się mijać i chyba, co gorsza ciągle się pozdrawiać. Piękny to zwyczaj, ale jak co minutę trzeba powiedzieć Hi, to przy setnym Hi, Hi robi się dość nieznośnie. Piotrek mówił przeważnie Bondziorno, kto tam wie dlaczemu.

Około południa doszliśmy do miejsca, gdzie zaczynał się już prawdziwy śnieżek. Zrobiliśmy dłuższy postój - postój garmazeryjny. Stopiliśmy wodę, by uzupełnić butelki (przeciętnie zabieraliśmy zapas co najmniej 3 butelek 1 koma 5 litrowych) i zapodać jakieś zupki. W międzyczasie słońce stało się chyba moim największym wrogiem. Ogólnie, kiedy ten naturalny satelita Księżyca przeciętnemu Kowalskiemu odbiera x energii, mi odbiera 100x. Więc brak letniej czapki był brakiem wielce odczuwalnym. Zakręciłem sobie zatem koszulkę na głowie i położyłem się pod głazem w celu odsapingu.

Leżało się wybornie, ale trzeba było ruszyć jednak dalej. Postanowiliśmy założyć raki, bo widzieliśmy, jak się ludzie zapadają w śnieg lub dokonują dziwnych ślizgów. I tu kolejny błąd amatora - nie przećwiczyłem zakładania raków na sucho, w domu, w 20 stopniach, przy piwie i dochodzącym z łazienki kobiecym śpiewie. Dlatego, raz, że po pierwsze zakładanie raków zajęło mi dużo za dużo, przeciągając czas i wprawiając w irytację, i dwa, że po drugie, koniec końców założyłem je stosując właśnie opracowaną technikę, szerzej znaną w elitarnym świecie zdobywców wszystkich ośmiotysięczników, jako Sposób Idealnego Umocowania Raków Konstrukcji Ilkiewicza (w skrócie SIURKI), tak skuteczną, że kilka razy później mi się osuwały.

Wbijamy się w śnieg. Jedna noga, druga noga, jedna noga, druga noga, jedna noga, druga zniknęła, druga się pojawiła, pierwsza zniknęła, obie się pojawiły, zniknął kijek, wszystko się pojawiło, Piotrek zniknął, Piotrek się pojawił, no to idziemy dalej. Trochę to trwało, aż się przyzwyczailiśmy do głębokiego śniegu. Można tu też docenić rzeczy małe, które w takich warunkach stają się niebagatelnie niezbędne. Zgodnie z teorią torby na drzewie Ilkiewicza, która mówi, iż mimo, że może nas denerwować widok reklamówki, trzepoczącej w gałęziach drzewa, to nie docenimy sytuacji, kiedy mijamy drzewo bez żadnej trzepoczącej torby, tak i dopiero tutaj doceniłem kółeczko od kijków, które ma za zadanie jego uchronienie przed zapadaniem w śnieg. Kółeczko owo zapodziało mi się przy jednym z dziabnięć i od tego momentu prawy kijek wchodził mi w śnieg całą długością, nie tylko przestając mi pomagać, ale zaczynając mnie tylko dodatkowo męczyć. Zrozumiałem wtedy co miał na myśli szekspirowski Ryszard III wołając „Królestwo za kółeczko!”.

Dochodzimy wreszcie do wspomnianej grobli, gdzie schodzą lawiny, a którą trzeba przeciąć. Wygląda to następująco: z jednej strony grań (tu my), 30 metrów dalej druga grań, a pomiędzy żleb, w obrębie którego natura wyżłobiła dodatkowe 2 metry, które ewentualnie schodziły kamulce. Zatem nie było tak źle, wystarczy

przeciąć te 2 metry. Poza tym żleb sięgał bardzo wysoko i z odrobiną ostrożności powinno się dać wystarczająco wcześniej zareagować w przypadku nadchodzącej lawiny. Poza tym, dla asekuracji, została przewieszona lina między graniami, do której można się było przypiąć karabińczykiem (o ile się takowy miało) na wypadek potknięcia lub obucha w głowę.

Ruch w tym miejscu odbywa się siłą rzeczy wahadłowo, raz trawersuje strona lewa, raz strona prawa. I tak świątek, piątek. Wszystko odbywa się pięknie. Raz biegnie John, a za chwilę Pierre, później Mauricio i Sergio. Jak w zegarku, jak w niemieckim systemie pkp.

I nagle jebut. Czasem człowiek musi przejechać taki kawał, żeby zobaczyć grom z jasnego nieba. Dech zaparło mi w piersiach i myślę, że wszystkim, którzy to widzieli. Po przeciwległej stronie żlebu schodziła bardzo ostrą, stromą i skalistą granią grupka bardzo kolorowych wspinaczy. Wyglądali na tych, którzy wyglądają, jak ci, co się znają na górach. No ale czasem nawet i kowal przez pomyłkę przybija sobie podkowę do własnego kopyta...

Nagle, jeden z nich, idący na przedzie, najwidoczniej pośliznął się i zaczyna lecieć w dół. Nie jest to lot typu szuranie tyłkiem po zboczach, ale najzwyczajniejszy, pionowy spadek bezwładnego ciała. Wszystko trwało ułamki sekund. Najpierw odbija się od jednej skały, później zderzenie z drugą. Bach bach. Nadchodzi wreszcie pomoc - asekuracja linami. Na szczęście był szepiony z dwoma kolegami, którzy szli za nim. Najpierw złapał jeden, później zareagował drugi. Wreszcie, kiedy spadający pokonał już dobre 2-3 metry lina się naprężyła i spadek został zatrzymany. Ciało wisi swobodnie, bez władu, zgięte w pałak, ludzkie wahadło, tik, tak, tik, tak... Wszyscy stoją w zamarcu, bojąc się najgorszego. Zderzenia ze skałami nie ominęły przecież głowy. Mija kilka sekund. Wreszcie słyszymy cichy głos, jęk, ale jest dobrze! Żyje! Powolotku opuszczają go. Okazuje się, że został zraniony tylko w nogę i powinno być w sumie Ok. Co za fart. Albo opatrność. Właśnie darowano mu drugie życie.

Odczarowaliśmy nasz wzrok z Piotrkim i wróciła nam rzeczywistość. Prawdopodobnie gdyby nie kask, byłaby już kaplica. My bez kasków. Przekląłem tylko na Piotrka, że jak nie będzie uważał, to mu tak zafasolę, że wleci na Mont Blanca i ruszyliśmy dalej.

Nadeszła nasza kolej przemierzyć groblę. Pierwszy idzie Piotrek. Pewnie, spokojnie, nic się nie turla z góry, jest na drugiej stronie. Idę ja. Też Ok. No to jedna z przeszkód za nami. Mijamy niedoszłego nieboszczyka i zaczynamy najtrudniejszy odcinek wyprawy. Tu właśnie doszło do mnie, że żarty się skończyły i przez myśl przebiegła mi myśl, że może jednak porwali się z motyką na Księżyc (taka metafora).

Przed nami rysowała się przezajebicie postrzępiona, stroma, skalista grań. Do schroniska zostało nam około 500 metrów przewyższenia, które jak się okazało „szliśmy”, a raczej wdrapywaliśmy się 6 godzin (w porównaniu do 4 godzin, jakie zajęło nam przejście dotychczasowego kilometra przewyższenia), czyli 83m/godzinę, czyli 1,4m/minutę, czyli 2cm/sekundę (tu w sumie nie brzmi tak źle:). Ten odcinek łączył ze sobą elementy podejścia i wspinaczki. Grań o

kilkumetrowej szerokości składała się ze skał pokrytych miejscami śniegiem. Śnieg był już o tej porze mocno wilgotny, a później wręcz przeistaczał się w maź śniegowowodną. Sprawiało to realną możliwość ześlizgnięcia się z grani w lewo- lub prawobrzeżne urwisko, o nachyleniu sięgającym 60 stopni. W większości przypadków sprowadzałoby się to do mszy żałobnej. Dlatego czekając poszedł w ruch, zmniejszając to ryzyko w znaczny sposób.

Skalki gdzieś tam były tak strome, że w kilku miejscach trzeba było wspinać się pod kątem prostym, tym bardziej niesmacznie, bo z balastującym „na zewnątrz” plecakiem. Na szczęście takich sytuacji było bardzo mało i te odcinki nie były wysokie. Poza tym, w większości bardziej niebezpiecznych miejsc były przytroczone stalowe liny, za które można było się złapać.

Na początku, mając jeszcze przed oczami niedawny upadek kolegi wspinacza, szczepiliśmy się z Piotrkim liną. Jednak po pewnym czasie, doszliśmy do wniosku, że bardziej nam przeszkadza, niż daje otuchy i się rozwiązaliśmy. Podejrzewam, że w sytuacji kryzysowej i tak prawdopodobieństwo tego, że jeden uratuje drugiego było mniejsze od prawdopodobieństwa pociągnięcia za sobą.

W pewnym momencie doszliśmy do pewnego miejsca, gdzie jedną ze skał trzeba było obejść lewą stroną. Nie byłoby to większą trudnością, gdyby nie maziowate i pochylone podłoże. Dróżka w tym miejscu biegła pod lekkim spadkiem, który po 2 metrach przechodził w kilkusetmetrowy uskok. Nie mieliśmy wtedy założonych raków, a ryzyko poślizgnięcia było całkiem realne. Stoimy i myślimy. Zakładamy raki, czy nie? Nie chce się. Ale jak noga poleci, to nie ma się za co złapać i człowiek zaczyna poruszać się ruchem jednostajnie przyspieszonym, przybliżonym do przyspieszenia ziemskiego. Piotrek mówi, że huk, spróbuje i da mi znać jak było. Dał krok. Później następne, aż zniknął za skałą. Widzę, że nic nie spada (w dół), więc chyba dał radę. Odzywa się w końcu zza ściany:

- Ilkiewicz! Zakładaj raki! – no to założyłem...

Tak to się powolutku doczłapaaliśmy do schroniska. Mieliśmy za sobą około 11 godzin marszu tego dnia. Określiłem ten dzień jako jeden z najcięższych dni w moim życiu, co podtrzymuje do dzisiaj. Ale to bardzo dobrze, że jest ciężko. Rzeczy łatwych się nie docenia.

Wpadamy do schroniska. Półmrok. Świeci się gdzieś tam jedna żarówka. W sumie logiczne. Ciągnąć kabel na 3.800 to niezła zabawa. A i tak Polacy by się pewnie zaraz podłączyli, by oświetlić pół Warszawy. Więc wnioskuję, że jadą na agregacie prądotwórczym, nie mając najmniejszego pojęcia, co to znaczy. W przedsionku pełno butów, kijków, plecaków, wszystkiego. Burdel jak w damskiej torebce. Za przedsionkiem, po lewej, wejście do noclegowni, na prawo wejście na izbę. Poustawiane stoły, zapchane ludźmi. Ludzie gadają, ludzie jedzą, ludzie śpią, śpią na ławach, śpią koło ław i śpią pod ławami. Kto spał pod ławą był największą szyczą.

By noclegować w schronisku trzeba rezerwować miejsce dzień wcześniej, opłata to chyba, co najmniej 20 parę Euro. Ci, co nie śpią w schronisku, mogą rozbić się powyżej w namiotach. Kopie się dół, rozstawia się namiot, wchodzi się do środka i

rozpoczyna modlitwy, żeby namiotu nie zdmuchnęło. Słyszeliśmy historie, że niestety, dość często, namioty nie wytrzymują i albo się rwą i odlatują, albo nie.

My oczywiście nie mieliśmy ani rezerwacji, ani sprawnego namiotu, ani ochoty wydawać 20 Euro na nocleg. Nihil novi jak mawiał Maćko z Bogdańca. Więc wbiliśmy się na watę i rozłożyliśmy się pięknie koło ławy, na izbie schroniska. Wcześniej jeszcze zjedliśmy co nieco, topiąc wodę z lodowca. Butelka wody 1,5 litra w schronisku kosztuje 5 Euro, więc woleliśmy pobawić się kuchenką i śniegiem. Po posiłku położyliśmy się spać. Przed nami już tylko atak na szczyt...

Generalna zasada, jaką wyznaje 95% wspinaczy, atakujących Dach z Refuge du Guter, głosi, iż należy wyruszyć z atakiem o 1-2 w nocy. Wtedy śnieg jest jeszcze solidny, zwarty, przez co idzie się lepiej i nie ślizga. Dochodzi się do szczytu około 6-7, by wrócić do schroniska około 8-9. Z Piotrkim uznaliśmy, że te 95% alpinistów nie ma pojęcia o zdobywaniu Mont Blanc – wstaliśmy o 9 rano.

Schronisko oczywiście puste. Słoneczko przebija przez okna. O! I już niektórzy wracają! Niestety ze złymi wieściami. Ten nie dotarł, bo było zbyt wietrznie i zawrócił, ten nie dotarł, bo nie dał rady, ten nie dotarł, bo nie dotarł. Nie napawało to nastrojowo. Nic to. Szykujemy się.

Zdawaliśmy sobie sprawę, że na wysokości 4.300 będziemy mijać słynny blaszak ewakuacyjno-ratunkowy – Valot. Jest to solidna puszka 4 x 6 metrów, służąca do sytuacji awaryjnych. Postanowiliśmy zatem zabrać tylko rzeczy niezbędne, tak, że jeśli nie uda nam się zdobyć szczytu tego dnia, to skimamy się w tym blaszaku i jutro nie ma mydła. Dzięki temu chcieliśmy się odciążyć i myśleć, że był to strzał w dziesiątkę.

Jesteśmy gotowi. Pogoda wydaje się dobra, niebo bezchmurne. Raki na nogach. W rękę czekan. Czapa i gogle na łeb. Rękawice na dłoniach. Rambo 7. W dodatku, szczęśliwie, wychodząc ze schroniska spotkaliśmy jeszcze ekipę, która wracała ze szczytu i go zdobyła! Więc jednak można! Morale podskoczyły...

Ruszamy. Idzie się dość dobrze. Dookoła już tylko białe, czyli idziemy po lodowcu. Żadnej skałki, tylko śnieg. Czuję podekscytowanie, że To już dzisiaj. Mijamy miejsce, gdzie zauważamy kilka podstępnych dołów, gdzie najwidoczniej pod skorupą cienkiego śniegu, znajdowały się pokłady niczego. Ostrożnie przechodzimy obok. Przed nami ogromny stok. Pięknie by się tu zjeżdżało na dechach. Nie tym razem. Człapiemy pod górę. Noga za nogą. Poruszamy się coraz wolniej. Wraz z wysokością raptownie spada ciśnienie i ilość tlenu. Jak się dowiedzieliśmy później, na wysokości schroniska ciśnienie wynosiło 600 miliampera dolara słupa rtęci do kwadratu limes. To wszystko powoli rozbija organizm. Z jednej strony stara się przyzwyczaić i zaaklimatyzować, ale z drugiej strony, logicznie rzecz biorąc, zmniejszająca się dawka tlenu, musi wreszcie wywrzeć wpływ.

Ale jakoś idziemy. Ja zaczynam paplać do siebie. Wmawiam sobie, jak super sobie daję radę. O! zrobiłeś kolejny krok! Pięknie! I jeszcze jeden! No brawo brawo Adaśko! Później nadchodzi okres śmiania się z siebie, że człowiek sam siebie chwali. Później człowiek myśli, że któregoś dnia napisze o tym, że najpierw się sam motywował, a później się z tego śmiał. Później śmieje się z tego, że napisał, że śmiał

się, że o tym napisze itd. To tak, jak kamerowanie telewizora, w którym jednocześnie puszcza się obraz z tej samej kamery.

I tak mija powoli wędrówka. Kroczek za kroczkiem, a raczej stópka za stópką. Każdy metr składa się z jakichś 5 kroków. Tempo może 10 metrów na minutę. Co 100 metrów 2 minutowy postój. Grunt, że systematycznie do przodu. To najważniejsze. Odległość to czysta matematyka. Poruszając się nawet nieskończenie wolno, kiedyś się tą odległość pokona. Dlatego najważniejsze to parcie do przodu, nieważne jak wolne.

Sprawdza się. Wreszcie jest! Zza wzgórza, pod które wchodzimy, powoli wyłania się Biała Dama. To ona? Na pewno ona? Tak! Już ją widzimy! Pierwszy raz jest w zasięgu wzroku, więc prawie jakby ręki. Teraz już nas końmi nie powstrzymają!

Ale droga jeszcze długa. Jesteśmy dopiero na około 4.200 m. 600 metrów do wzięcia. W oddali widzimy małe punkciki poruszające się po górze. Jakżeby wspaniale być już na ich miejscu.

Powoli dochodzimy do Valota. Decydujemy się chwilę odpocząć. Robimy herbatę, jemy suszone owoce, czekoladę. Zajmuje to nam jakąś godzinę. Jesteśmy ospali, Szczególnie ja. Decydujemy się na zostawienie w Valocie kolejnego balastu. Wiemy, że jeśli mamy awaryjnie nocować, to i tak tutaj, więc możemy zostawić śpiwory, żarcie, i takie rzeczy. Jak nas gdzieś po drodze zmiecie, to i tak niedługa nadzieja drzemie w śpiworze... Tak czy siak, okazało się że zapomniałem zabrać śpiwór ze schroniska, więc jak coś, to czeka nas noc w jednym worku. No ale to, zapewne dodatkowo nas dopinguje do zdobycia szczytu.

Opuszczamy schron. Zostało pół kilometra licząc w pionie. Czyli jakieś półtora kilometra drogi. Niebo nadal błękitne, z tym, że zaczyna coraz bardziej wiać. Decydujemy się związać liną. Idziemy gęsiego. Piotrek jako pierwsza gęś, ja jako druga. Staramy się utrzymać tempo, wolne, ale utrzymać. Temperatura około 10 poniżej zera, ale mi coraz cieplej. Rozpinam kurtkę, zdejmuję czapkę i co najgorsze – gogle, największy błąd wyjazdu...

Idziemy dalej. Decymetr za decymetrem, coraz wyżej, coraz bliżej. Czuję, że powoli odpływają mi siły. Staję się coraz słabszy. Duszno. Lekki zawrót głowy – muszę przysiąść. Mam mętlik w głowie. Mega osłabienie. To pewnie ciśnienie. Wszystko schodzi na boczny plan. Jestem tylko ja i góra. Nic nie robi, a i tak powoli mnie rozbija. Szacun. Kilka minut przerwy i idziemy dalej. Za kilka metrów znowu kręciola w baśce. Znowu siadam, znowu kilka minut. Kurde, co się dzieje.

Piotrek ogólnie znosi wysokość dobrze, nie ma takich problemów, chociaż droga też go mocno męczy.

Ruszamy dalej, powolutku. Siły wreszcie wracają i kryzys przechodzi. Znowu wpadamy w nasze dobre tempo, 10 metrów na minutę. Lewa, lewa, lewa. Wieje coraz bardziej. Powoli zanosi się na załamanie pogody. Nieba już nie widać, powoli otacza nas jedna, wielka, szybko poruszająca się chmura. Ale kto by tam teraz o tym poważnie myślał. Dookoła już prawie wszystkie okoliczne, a zatem i wszech europejskie góry pod naszymi stopami. Rysy 2.000 metrów poniżej, to co najmniej 20 boisk piłkarskich (zawsze przeliczam na boiska, żeby lepiej wyobrazić

odległości). Przemę do przodu. Szczyt coraz bliżej. Coraz większy brak tlenu i coraz większy wiatr z jednej strony, przyływ adrenaliny z drugiej. 100 metrów odpoczynek, 100 metrów odpoczynek, tak jeszcze ze dwa razy i wyłania się wreszcie wierzchołek wierzchołków. No żesz ja pierd... ale jesteśmy blisko. Zaraz się posram z podniety.

Przed nami od pewnego czasu maszeruje grupka Azjatów. Wyprzedzili nas – zapewne z powodu niższego oporu powietrza. Są jakieś 100 metrów przed nami i wydaje się, że już osiągnęli szczyt! Zaginamy. Idziemy ich śladem, idziemy, idziemy, a oni cały czas 100 metrów przed nami! No stójcie wreszcie! Najwidoczniej tak tylko wygląda z dołu, że to już szczyt, a trzeba jeszcze ciut przejść. Pogoda w międzyczasie robi się prawie paskudna. Wiatr przechodzi w porywisty. Ostatni odcinek podejścia polega na przemarszu granią, którą biegnie ścieżka o szerokości 2-3 metrów. Ścieżka owa przeradza się po obu stronach w strome zbocza, czasem bardzo. Ale z przodu przeradza się w wierzchołek tej Damulki, którą przecież musimy zdobyć!

Generalnie wiatr w takich miejscach ma taką naturę, że zwykle wieje w poprzek grani, niejako przewalając się z jednej na drugą stronę, dodatkowo dostając nagłego przyspieszenia na tym naturalnym przewężeniu. W pewnym momencie zaczął przesadzać. Z prawej strony zaczyna dmuchać tak mocno, że przy silniejszych podmuchach musimy przykucać, albo wręcz padać do ziemi żeby nas nie zwało. Ryzyko kapliczne znowu usiadło nam na ramionach.

4.750 m.n.p.m. vs dwóch amatorów. Muszę przyznać, że w pewnym momencie ostrego wiatru przeszła mnie myśl czy nie lepiej wyluzować, bo to tak głupio byłoby zostać zdmuchniętym z Mont Blanca. Ale szybko mi tą myśl, na szczęście, wywiało z bańki. Kto nie ryzykuje, ten nudne życie snuje.

Zatem szeroko rozstawiamy nogi, pupcie przycupnięte lekko do ziemi i takim rozkrokiem krocymy powoli do przodu. Azjaci ciągle 100 metrów przed nami. Czasem tracimy ich z oczu z powodu coraz gęstszeo, białego, chmurnego wiatru. Lecz po jakimś czasie nasz dystans zaczął się zmniejszać. Czy zali dobrze widzimy, że już stanęli?!?! Tak! W mordę stanęli! Więc tam już To musi być! Dawaj, dawaj, dawaj, ostro do przodu. Już nawet zapominamy o pochylonej postawie, ignorujemy wiatr i walimy przed siebie. 70, 50, 10 metrów! Prawie jesteśmy! Ostatni krok, pół kroku, centymetr i wreszcie!!! Jesteśmy na dachu Europy!!! Na Moncie Blanku!!! Biała Dama zdobyta!!! Jesteśmy najwyższymi umiejscowionymi ludźmi w Europie!!!!!!! (Azjaci prawie, prawie!!!)

Gratulujemy sobie, ściskamy się na radzieckiego miśka. Mową ciała wyrażamy stan zadowolenia i radości. Robimy fotki, nagrywamy filmiki. Rozglądamy się po krajobrazie, dużo nie widać z powodu zawieruchy. Ale fajno...

Szczyt ciągnie się jeszcze ścieżką przez kilkadziesiąt metrów, by znowu zacząć opadać. Piotr jeszcze sprawdził czy nie da się wejść wyżej, pogadał z Azją i potwierdził, że to jest To. No to git. Nie wiem już sam, co wtedy dokładnie czułem. Czy bardziej satysfakcję, ulgę czy zmęczenie i obawę przed raptownie pogarszającą się pogodą. Pogorszenie pogody w górach bywa bardzo nie bardzo.

Kit jednak z pogodą. Musimy tu spędzić parę chwil. Satysfakcja jest wielka, ale chyba większa z faktu przebycia drogi, niż z faktu zdobycia szczytu... Ale fajno...

10 minut i decydujemy się rozpocząć zejście do bazy. Trzeba to zrobić jak najszybciej, bo na niebie coraz ciemniej. Czas odpływa w cień. Ruszamy.

Po kilkunastu metrach coś mi się pokiełbało z nogami, potknąłem się i lecę mordą w glebę. Niestety nie na ścieżkę, lecz obok, a tam bywają ostre granie. Szczęśliwie widziałem, że do ostrego spadku jest jeszcze kilka metrów, więc spokojnie pacnąłem o ziemię, przejechałem parę centymetrów, wbiłem za sobą czubki raków w śnieg i się zatrzymałem. Tak czy siak byliśmy przewiązani liną, więc była spora szansa, że Piotrek by mnie uratował. Ok. Nic się nie stało, schodzimy dalej.

Miało być szybko. Ale nie jest. Z mojej winy. Czuję się coraz słabiej. Zamiast nabierać sił, ciągle je tracę. Widocznie adrenalina utrzymywała mnie do tej pory przy marszu. Co kilkadziesiąt metrów zatem odpoczynek. I tak powoli schodzimy. Pogoda coraz gorsza i gorsza. Czasem wiatr raptownie podrywa wierzchnią warstwę skorupy lodowcowej, tworząc wiatr składający się z małych cząstek śnieżno-lodowych. Wali to tak dysmłosiernie po oczach i twarzy, że musimy przycupywać do ziemi i się osłaniać.

Kiedy dochodzimy do Valota, mijamy Niemca i Wandę, co go chciała. Pytają się nas czy warto wchodzić dalej. Mówimy, że im wyżej, tym ciężiej i niebezpieczniej, ogólnie sceptycznie. Widzę, że się wahają. I łup nagle powiew cząstek śnieżno-lodowych. Przywieramy do ziemi. Kilka sekund i wstajemy. Jestem już pewny, że teraz nie mają już wątpliwości... Ale, budząc moje zdziwienie, Niemcy podejmują decyzję, że idą dalej. Ależ upartość i wytrzymałość myślę sobie, szczególnie szacunek do Helgi.

Więc good luck i się zegnamy. Do schroniska mamy jeszcze jakieś pół drogi. Zatrzymujemy się w Valocie na odsap i idziemy dalej. Czuję się słabszy i słabszy. Częste postoje. Już sam nie wiedziałem czy naprawdę jestem tak osłabiony czy to jakieś lenistwo mnie dopadło. Przecież jaka sztuka leży w schodzeniu. Nogi same niosą. Ale coś musi być jednak nie tak, skoro ziemia przyciąga mnie tak bardzo.

Jestem wdzięczny Piotrkowi za wyrozumiałość, bo widziałem jak rwał do przodu i widząc, że dają ciała, ani razu mnie nie zburzył. Pod koniec, pchnął mnie przodem, bo ten, co idzie przodem, ma przeważnie więcej sił i tak doczłapaliśmy się do schroniska. Minęliśmy jeszcze małe pole namiotowe, trzepoczące na wietrze jak żagle.

Jest wieczór, około 21 jesteśmy w schronisku. Większość obecnych już śpi. Siadamy koło jakiegoś małego stolika i odpoczywamy, wymieniamy parę zdań, piszę kilka smsów, że daliśmy radę i kładziemy się spać. Sen zbawienie.

Tej nocy nie było już jednak tak przyjemnie, jak ostatnio. O 01:00 tradycyjnie zrobiło się tłoczno i ruchawo. Tym razem nie szczypano się z uprzejmościami wobec gości, którzy rozłożyli się wygodnie w przejściach, pod ławami, na żyrandolach etc. i wreszcie któryś szturch mnie zbudził, ktoś rzucił, że to nie miejsce i czas do snu. Pamiętam, że kładłem się spać przy jednej z ław, pamiętam, że się obudziłem chyba na samym środku przejścia między ławami a okienkiem, serwującym posiłki. Nad

moją głową kursowało co chwila kilka par nóg i nie dziwne, że wreszcie ktoś się wpienił. Gdy się przebudziłem, było mi zimno, słabo i wzrok mój był pełny mgły. Przysiadłem zatem na schodkach, w celu przeczekaania ferworu przedwyjścia 100 wspinaczy na MB. Po chwili dostrzegłem Piotrka, którego też tak nie po matczynemu rozbudzano i został zmuszony do objęcia taktyki przeczekaniowej. Ale kit im w nos, my już zdobyliśmy...

Po jakiejś godzinie, zwolniło się kilka łóżek w jednym z pokoi i Piotrek z lekka przyciął sugerację, że czemu by nie. Siup i jesteśmy na wygodnych pryczach, opatuleni w koce i nawet z poduszką pod głową. Zасыpiamy spokojnie i nabieramy sił na rano. Przed nami mieliśmy najpierw ten ostry odcinek skalisty, a później już z górki. Góra dwa dni i jesteśmy w miejscu, gdzie są zlewy, gdzie woda kosztuje 1 Euro i gdzie można rozbić namiot Łukasza. Taki był plan. Cudny plan kończący cudną przygodę... Ale sprawa się ryła i od tego momentu przygoda wzięła sprawy w swoje własne ręce...

Kiedy się obudziłem rano i otworzyłem oczy, to ich nie otworzyłem. Kiedy już otworzyłem, to nic nie widziałem. A kiedy wreszcie przejrzałem to przeniosłem się w krainę Kopernika, bo jedyne, co widziałem to wspaniała kraina drogi mlecznej. Białe, mleko, mgła, śnieg, biały miś. Wszystko białe. Kiedy biały Piotrek spojrzał na mnie, wyczułem, że się zaniepokoił. Piotrka podejście do życia stanowczo zabrania mu się niepokoić czymkolwiek, dlatego kiedy zobaczyłem, że coś zburzyło jego spokój, wiedziałem że coś musiało się poważnie spartaczyć. Później mi powiedział, że takich napuchniętych oczu jeszcze nie widział. Dwie piłki do koszykówki, no może do ping ponga. Najwidoczniej brak gogli poskutkowało osuszeniem oczu z powodu silnego wiatru i do tego doszło silne nasłonecznienie.

Wstaję, kręci mi się we łbie, ledwo stoję na nogach, ogólne rozmęślenie organizmu i nastroju. Może jednak przejdzie jak się rozbudzę. Czekam. Bez poprawy. Kładę się znowu spać. Poczekajmy jeszcze trochę...

Kiedy się budzę po raz kolejny, to samo. Nie ma co, dziś nie zejść. Prawie nic nie widzę i nie mogę swobodnie ustać w miejscu więc, co dopiero próba zejścia po pionowych skałkach.

- Pić, dziś nie dam rady.

- Ok. Czekamy do jutra.

Podlażłem jeszcze do opiekunów schroniska i przedstawiam sytuację. Schroniskowy Chirac pyta mnie czy chcę zamawiać helikopter. Ja mówię, że nie i pytam czy mają jakieś krople, bo może pomogą. Louis de Funes wykonuje telefon do lekarza, rozmawia z nim parę minut i daje mi jakieś fiołki. Jak nie pomoże, będziemy działać dalej. Ok. Super. Może coś się zmieni. Piotrek mi zakrapla i kładę się znowu spać.

Niedobrze, bo w ogóle nie czuję głodu, a bez energii wiele mi się nie poprawi. Dlatego wpadamy na pomysł, że Piotrek przygotuje na obiad makaron – moją ulubioną formę zboża. Ja śpię cały czas, a Piotrek kręci się wokół, znalazł fajny kącik podłogi, gdzie rozłożyliśmy karimaty i kiedy wygonili nas z prycz z powodów

rezerwacji, spokojnie zajęliśmy nasz zakamarek, gdzie panowała względna cisza i spokój i nikt nie miał powodów nas stąd wykopywać.

Przerwa we śnie na obiad. W celu wzmoczenia apetytu decydujemy się wypić Żuberka, którego nie zatachczyliśmy koniec końców na szczyt. Zatem makaron z dodatkami + piwo = powinno być smacznie. Co z tego, jak po kilku łyżkach, nie dają rady zjeść więcej. Wiem, że muszę, ale nie mogę. Padam na karimatę i kima. Tak mija cały dzień. Na śnie i widzeniu białej ciemności. Jeżeli stan się utrzyma, nie będzie szans na zejście. Wtedy nie wiem co zrobię, bo szacuję, że koszt helikoptera to jakieś 10.000 Euro. A kolejny dzień leżenia pewnie wiele zmian nie przyniesie. Pluję sobie w brodę, że nie wykupiłem ubezpieczenia. I jak na ironię pracuję przecież w ubezpieczeniach! Kowal bosy chodzi...

Ogólnie zajeżdżenie jest być uwięzionym na wysokości 3.800 i mieć wybór czy schodzić po omacku, o siłach nawet nie wystarczających na utrzymanie plecaka, czy organizować helikopter kosztem łóżka, prysznic, dwukomorowego zlewozmywaka i tych, takich małych gumeczek, które przykleja się do szuflad, żeby nie stuknęły (urządzam mieszkanie) czy czekać jeszcze jeden dzień licząc na cud. Każda opcja napawa optymizmem. Choć ponoć z każdej sytuacji jest dobre wyjście...

W międzyczasie proszę jeszcze o dwie fiolki do zakraplania. Może zaczną działać. Przy okazji postanowiłem zapytać o koszt ewentualnego helikoptera. Czekając na cios obuchem, jakież było moje zdziwienie, kiedy usłyszałem: „*darmo*”. Nagle naród, często utożsamiany przeze mnie za naród chodzących salonów urody i tych, którzy położyli się przed kilkoma tygrysami w '40 roku, zacząłem postrzegać jako naród darmowych helikopterów. Kochana Francja...Ależ ulga... Jakież wyjście już ewentualnie jest.

Zapada noc. Oby była zbawienna i przywróciła mi ślepią. Choć z drugiej strony, już byłem tak skapcianały całą tą sytuacją, że momentami przechodziły mi myśli, że byłoby lepiej gdyby wzrok mi się nie poprawił, to będę mógł szybko zlecieć na dół i zakończyć cały ten burdel. Zobaczymy więc, jak będzie.

Ranek...Otwieram oczy... Jak jest? Ilkiewicz jak jest? No rzesz k... mać! Bez zmian. Poprawa żadna - jakby nie liczył. Zatem postanowione - helikopter. Mówię Piotrkowi, że dupa błada i idę po pomoc. Pytam, czy chce lecieć ze mną. Uzgodniliśmy, że lepiej się nie rozstawać, więc si. Idę zatem do obsługi schroniska i mówię do Belmonda, że nie ma poprawy i chyba jednak bez śmigłowca to będą jeszcze mieli mnie na karku do czoko śmierci. Ok - załatwiają.

Niestety nie mogą wziąć Piotrka, tylko jedna osoba, kurde, szkoda. Mówią mi, że bym się pakował i pytają czy mam uprzęż, tzn. wtedy nie wiedziałem, że mnie o to pytają, bo nie wiedziałem, jak jest uprzęż po angielsku. Domyśliłem się na szczęście po hula-hopowych ruchach Zidana wokół pasa. Uprzęży u mnie niet. Spoko - zakładają mi ichnię. Wiążę fakty - skoro uprzęż, to znaczy, że będą mnie podczepiać do liny??? Zgadza się - wiatr jest zbyt silny, żeby lądować.

- Piotrek! Łap aparat!

Spakowany, czekam na sygnał wyjścia przed schronisko. Sygnał przychodzi, a my, zgodnie z zasadą naczyń połączonych, wychodzimy. Trzeba podejść 10 metrów pod

górkę. Przodem idzie Napoleoś, środkiem ja, Piotrek z tyłu. Po kilku metrach przysiadam, i zaraz znowu. Cóż za bezsilność. Platini natychmiast mi pomaga, zdejmuję mi plecak i wspiera. Kiedy jesteśmy u celu, sadza mnie w śniegu i chwilę czekamy. Za parę sekund czarna puszczyka powiedziała parę słów, po czym Pepin Mały zaczął zdejmować mi uprząż – wiatr okazał się wystarczająco słaby, by przysiąść. Szkoda. Nic to.

Podlatuje śmigłowiec, taki jak nasz GOPRU, tylko, że miał pewnie wszystkie guziczki sprawne. Próba lądowania, pudło – zawiąło. Robi kółko, druga próba, udało się. Robespierre podrywa mnie ze śniegu i asekuje w stronę śmigłowca. Kiedy dobiegam, łapię jakąś wyciągniętą rękę, która ruchem nie znoszącym sprzeciwu wciąga mnie raz, dwa na pokład. Sadzają mnie na ziemi. Ja, ze trzech ratowników i dwóch pilotów. W sumie pięciu terminatorów, którzy dzień i noc latają i narażają siebie, bo jakiś cieciu nie pomyślał, żeby założyć gogle.

Pierwszy raz leciałem helikopterem, próbowałem zatem rozejrzeć się po okolicy, ale blask słońca i biel śniegu tak waliły mi po oczach, że wolałem patrzeć na guziczki w kokpicie.

Kiedy wylądowaliśmy na dziedzińcu szpitala, jak to jest w filmach, na wielkiej literce H w okręgu, od razu wybiegła po mnie pielęgniarka. Kciukiem podziękowałem załodze ratowniczej i popędziłem na izbę przyjęć. Leje mi się z oczu, wszystko napuchnięte i ledwo widzę i piękny przejaw sarkazmu na dzień dobry:

- Parle franse?

- Parle no franse.

- You are the one just brought down with the eyes problem?

- Yes.

- Then please fill this in.

I podaje mi jakiś papier. No zesz cholera jasna, gdzie tu logika. Ledwo widzę z kim rozmawiam, a mam jeszcze wypełniać jakieś miniaturowe krateczki... Więc wypełniłem. Czasem musiałem się ostro skoncentrować i szybko atakować daną linijkę, zanim ucieknie mi spod ręki.

Dobra, zarejestrowałem się. Jakaś pielęgniareczka zabiera mnie do gabinetu.

- Parle franse?

- No parle franse.

Ale chyba nie uwierzyła, bo dalej jedzie w ojczyźnianym. Najpierw zamaściła mi oczy. Następnie, rzuciwszy ze dwa zdania, wyszła. Ni cholery nie zrozumiałem, co do mnie mówiła. A przecież może coś ważnego, więc dumam, co mam robić. Myślę zatem logicznie, co zwykle w takich sytuacjach mówi się pacjentom, a w dodatku, na środku gabinetu, pół metra ode mnie, dostrzegam leżankę. Więc dedukuję, że musiała mnie prosić, żebym się rozebrał do badania! No jasne! Ależ ty Ilkiewicz domyślny kawał ślepego sukinsyna jesteś! Ale zaraz, zaraz. Co jeśli tego nie powiedziała!? Ja się rozbiore, ona przyjdzie i międzynarodowa draka gotowa. Ok, nie kombinujmy. Poczekajmy wnieruchu i w ubraniu.

Po kilku minutach przyszedł doktor.

- Parle franse?

- Franse no parle.⁵
- Parle inglese?⁶
- Yes.

Szybki opis co, jak, kiedy, diagnoza, ponowne zakroplenie, recepta i werdykt – będę żył. To przyjemnie. Zapytałem jeszcze o ewentualne schronisko. Pan doktor po chwili przyniósł mi adres i jakiś woźny wytłumaczył mi, jak tam dojechać (kiedy w Polsce woźni będą mówić po angielsku...). Cała akcja ratunkowa i wizyta kosztowała mnie 22 Euro, więc piękna sprawa. Ogólnie przyjęcie, obsługa i organizacja w szpitalu jak ta lala. Wszystko sprawnie i fachowo. Dziękuję.

Wyszedłem ze szpitala i poczłapałem na przystanek. Jakiegoś łebka spytałem jak dojechać tu i tam, on spytał się kierowcy i zapakowałem się do autobusu. Kiedy chciałem zapłacić za przejazd, kierownica tylko na mnie spojrzała i powiedziała, że na koszt kuchni.

Znalazłem schronisko, około 13. A tu ciekawa moda, że recepcja otwarta rano i wieczorem. To sobie siadłem. Oparłem o zagłówek i przysnąłem. Przebudziłem się, gdy przechodziła koło mnie pewna Francuska, która tu mieszkała. Widząc me położenie, zaproponowała mi bym zagościł u niej w pokoju do czasu otwarcia recepcji. Tak też zrobiłem. Zdając sobie sprawę z mego odrażającego widoku, wiedziałem, że nie będzie próbować zniewolić mnie seksualnie, więc skorzystałem z jej gościnności. Wieczorem wynająłem własny pokój, zasunąłem firanki i poszedłem w kimę.

Chciałbym podkreślić jeszcze jedną sytuację, która mnie, nie ukrywam wzruszyła. Otóż będąc już w schronisku, dostałem smsa od Pita, że jak nie mam gdzie się zatrzymać, to on da radę zejść przed zmrokiem z namiotem. No zesz sobie myślę, co za kolo, który jest w stanie pokonać taki kawał w jeden dzień, zapominając o swoim wyczerpaniu, by nieść mi pomoc. Pit to prawdziwy przyjaciel i jak będziecie szli na MB, to radzę go ze sobą zabrać.

Rankiem, się obudziwszy, wymywszy, ubrawszy i zjadłszy opuściłem schronisko i udałem się do miejsca zbornego z Piotrkim – dworzec w Chamo. Przeważnie chodziłem w goglach, bo oczy w słońcu zachowywały się niegrzecznie. O ile oczy powoli wracały jednak do formy, o tyle teraz chyba największą bolączką sprawiała mi moja skóra na twarzy, która przerodziła się w jeden wielki strupek. Czulem się, jak w uwierającej masce. Każdy ruch ustami naruszał maskę, powodując swędzenie. Zresztą już sam Gombrowicz pisał, jak negatywne skutki przynosi. Powiedzenie o wypiciu naważonego piwa jest mi bliskie, ale z bardziej dosłownej strony tego medalu.

Punkt 12 zjawia się Pit. Uśmiech. Elo elo brachu.

⁵ W międzyczasie zastanawiałem się, jaki właściwie szyk jest właściwy (Parle no franse, No parle franse czy Franse no parle...)

⁶ Swoją drogą, jaki jest sens, już wiedząc, że ktoś nie mówi w danym języku, pytać go w tym właśnie języku czy nie mówi w innym języku?

Punkt któraś po 12 przyjeżdża nasz autokar do Aosty. Zapach końca miesza się z powietrzem. Kupujemy bilety, wsiadamy do autokaru, ostatni rzut oka na Chamo i francuskie Alpy. Otwieramy wino i odjeżdżamy

Przygoda dobiegła kresu. 5 dni. Nie była to normalna podróż wakacyjna, a raczej wyjazd w określonym celu. Niby Biała Dama nie należy do najcięższych szczytów, ale w odniesieniu do mojego doświadczenia górskiego, było to wyzwanie, jakiego jeszcze nie podejmowałem. To raz.

Dwa, byłem dumny, że mi się udało, choć z drugiej strony pozostaje niedosyt, że nie zszedłem o własnych siłach. Ten niedosyt łązi za mną do dzisiaj i pewnie jeszcze trochę mi pomędzi, ale jak to człowiek lubi sobie tłumaczyć jego własne czyny i decyzje, pocieszam się, że najzwyczajniej w świecie nie byłem w stanie zejść w jednym kawałku. I myślę, że tak rzeczywiście było.

Po wtóre, z pewnością przybyło mi trochę pokory, której tak często mi brak. Cieszę się, że również umiałem przewyciężyć chwile niepewności i przyjąć ryzyko. Tkwiąc w miejscu, góra sama cię nie zepchnie. Dopiero twój ruch, z jednej strony przybliży cię do celu, ale z drugiej strony wciąga cię w nieznanne.

I wreszcie, kolejny raz przekonałem się o tym, że z Piotrkim w dym.

460-ciu wybrańców narodu (Posłowie)

Nie lubię wstępów, więc krótko. Dla jasności sumienia. Fakty opisane w opisie dzielą się na autentyczne i nieautentyczny, dotyczący dialogu kupna butów. Fakty autentyczne dzielimy dodatkowo na obiektywne i być może z mimowolnym? i lekkim kolorytem nadrzeczywistym. Staralem się raczej nie rozdmuchiwać naszych przeżyć, ale jak to bywa w biograficznych robinsonadach, łowiący płotkę, mówi, że złapał rekina. Wprawdzie w opisie takich kaskad nie ma, ale zapewne mnichem skromności też nie trąci.

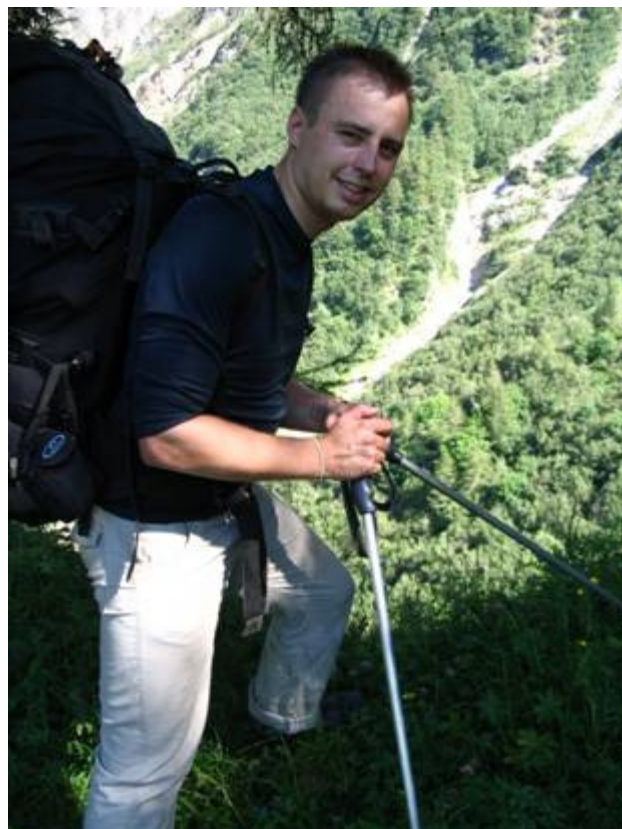
Elo

Adam Ilkiewicz
Listopad 2007
mosad@tlen.pl

Ps. Parę dni temu wróciliśmy z kolejnego wypadu w Bieszczady - znowu ciągnąłem się ostatni...



1.000 m.n.p.m. Lesbos. Godzina 0. Na dalekim planie znak zakazu zatrzymywania się.



1.900. Las powoli się zaciera.



2.900. Dochodzimy do śniegu. Po prawej stronie od głowy Piotrka zarys szczytu - to właśnie nie jest MB.



3.200 – 3.800. Grań w drodze do schroniska Refuge du Guter. Można zauważyć wspomniany szlak kamiennych lawin – szary pas biegnący od prawej w 2/3 wysokości do środka.



3.200 – 3.800. Ciąg dalszy podejścia do Refuge du Guter. Warto zwrócić uwagę na zmęczenie rysujące się w lewym oku.



4.300. MB w całej okrasie. Po środku, w 2/3 szerokości schron Valot (również w pełnej okrasie).



4.750. Prawie u celu. Pit! Nie leń się!



4.810. Mont Blanc zdobyty! Ładne rękawice.



4.810. Prezentacja charakterystycznego znaku odwróconej piramidy masonerii.



Powrót. Autokar do Aosty. Piotrek, Ty żulu...